

**G**doby miało się nieco dokładniej zrelacjonować życie kulturalne stolicy w pierwszych tygodniach jesieni, trzeba by poświęcić temu nie parę stron maszynopisu, lecz opasłą książkę. Liczba i jakość imprez - jak w Paryżu! No, może prawie jak w Paryżu, ale jak na Warszawę - zupełnie niebywała, i aż żal, że mogę każdej poświęcić jedynie parę zdań. No, bo proszę pomyśleć: jeszcze nie skończył się doroczny festiwal Warszawskiej Jesieni, a już zaczął się festiwal oper barokowych; jeszcze trwał ten barok, a już wystartowano z Warszawskim Festiwalem Filmowym; jeszcze nie zeszło z ekranów te pięćdziesiąt parę wspaniałych filmów, a już legendarni jazzmeni zagrali na Jazz Jamboree, a wszystko w rywalizacji z Konkursiem Chopinowskim. Do tego wielka gala w Teatrze Powszechnym i nieco mniejsza w Operze Narodowej; do tego Dni Brytyjskie w Polsce; Pavarotti, o którym już pisałem (a raczej nie pisałem!), Art Garfunkel, Zubin Mehta z Monachijskimi Filharmonikami, zawsze chętnie witany Stanisław Skrowaczewski jak to on - z Brucknerem... Ani chwili odpoczynku dla oka i ucha!

No, więc ekspresową relację zaczynam od Warszawskiej Jesieni - już 38 spotkania warszawiaków z muzyką współczesną. Jakie ta Jesień nasunęła refleksje? Chyba takie, że muzyka przeżywa dzisiaj pewien regres, że nie widać (a raczej nie słyhać) nowych, wielkich indywidualności na miarę Messiaena, Szostakowicza, Lutosławskiego czy Pendereckiego. W rezultacie najciekawszymi i najgoręcej oklaskiwanymi pozycjami festiwalu nie były dzieła pisane dziś czy wczoraj, lecz otwierające festiwal utwory klasyki współczesności, Antona Weberna i zamykająca festiwal Universe Symphony Charlesa Ivesa - najwybitniejszego kompozytora amerykańskiego, zmarłego przed czterdziestu laty: gigantyczne dzieło na cztery orkiestry kierowane przez czterech subdyrygentów, pozostawione przez Ivesa jedynie w szkicach, a dopracowane i opublikowane przez kompozytora i jazzmana, Larry Austina. Te dwa wydarzenia wyznaczały wysoką rangę festiwalu, zwłaszcza że

były znakomicie wykonane: Webern przez Sinfonię Varsovia pod dyrekcją Eda Spanjaarda, Ives - przez Filharmonię Narodową pod dyrekcją Jacka Kasprzyka. Duże brawa!

Ale duże brawa także dla Elżbiety Sikory za jej kameralną operę "Wyrwać serce" (z librettem wg Borisa Viana), rewelacyjnie wystawioną na małej scenie Teatru Wielkiego. Od czasu "Manekinów" Rudzińskiego żadne dzieło współczesne nie było w telewizji zaprezentowane tak efektywnie, tak pięknie wizualnie i tak po mistrzowsku opracowane muzycznie i wokalnie. Oryginalny zespół muzyków i chórzystów poprowadził Wojciech Michniewski, pięknie śpiewała (i pięknie wyglądała) Monika Cichocka, świetnie zagrał Jan Peszek i zaśpiewał Andrzej Niemirowicz (postać głównego bohatera słusznie bowiem rozdzielono na aktora i śpiewaka), niemniej największe brawa należą się Mariuszowi

Trelińskiemu - reżyserowi i Andrzejowi Majewskiemu - scenografowi. Obaj roztoczyli przed nami niezwykle wziętą wizję półrealnego świata, w którym może zdarzyć się wszystko (i bardzo wiele się zdarza!).

Czyli, jak na jeden festiwal wcale nie było źle, a może nawet bardzo, bardzo dobrze.

Natomiast Trzeci Festiwal Oper Barokowych, przygotowany przez niestrudzoną Warszawską Operę Kameralną, przyniósł po większej części wznowienia i jedną bardzo interesującą premierę: "Dydonę i Eneasza" Henry Purcella. To najwybitniejsze dzieło angielskiej literatury operowej powstało około roku 1690, lecz zapomniane na długi, długi czas, przywrócone zostało scenom dopiero równo sto lat temu. Wówczas odkurzono je z okazji 200 rocznicy śmierci Purcella, teraz WOK wystawiła je z okazji 300 rocznicy tegoż smutnego wydarzenia. Wystawiła je zresztą

# KURIER WARSZAWSKI

**Cóż za hok na scenach i estradach! • Festiwale, festiwale... i chyba wszystko dobre!**  
**• W Teatrze Wielkim wzięto byka za rogi (i wystawiono "Carmen") • Jubileusz w Powszechnym - takiej gali jeszcze u nas nie był...**



Oryginalny plakat do "Carmen" w Teatrze Wielkim, projektu Janusza Kapusty.

W bardzo atrakcyjnej inscenizacji i scenografii (jak zwykle: Ryszard Peryt i Andrzej Sadowski) i w doskonałym opracowaniu muzycznym i wokalnym: Dydoną była Olga Pasiecznik, Eneaszem - Przemysław Rezner, a znakomitą Belindą - Marta Boberska. Przygotowała to wszystko muzycznie Lilianna Stawarz.

I wyobraźcie sobie Państwo, że trzeci wielki festiwal, choć filmowy - też zaczął się muzyką: na jego otwarcie pokazano bowiem głośny film belgijski (nominowany do Oscara) "Farinelli - ostatni kastrat". W reżyserii Gerarda Corblau i w międzynarodowej obsadzie. A ponieważ słynny XVIII-wieczny kastrat słynął z rozległej skali głosu (blisko cztery oktawy), ten jego niezwykły głos odtwarza w filmie... dwoje śpiewaków: niższe tony śpiewa kontratenor Derek Lee Ragin, całą koloraturę - polska sopranistka mieszkająca za granicą - Ewa Mallas Godlewska, która zresztą przyjechała na warszawską premierę. Warstwa dźwiękowa tego filmu jest istotnie zdumiewająca, oprawa plastyczna - szokującej piękności, natomiast scenariusz ma trochę potknąć w przekazywaniu biografii legendarnego kastrata, skoncentrowanej tutaj przede wszystkim na jego tajemnej zależności - pełnej miłości i nienawiści zarazem - od starszego brata, od którego się ostatecznie wyzwolił. W zobrazowaniu jego olśniewającej kariery, która poprzez Włochy, a później i Londyn doprowadziła go na dwór hiszpański, gdzie pięknym swego głosu Farinelli zyskał ogromny wpływ na króla - i on właściwie decydował o sprawach państwowej wagi...

Pomimo mankamentów tego skądinąd pięknego filmu była to szalenie interesująca prezentacja, godna inauguracji festiwalu, który zyskał już sobie opinię imprezy o najwyższej randze, prezentując arcyciekawe, niekomercyjne, artystyczne filmy ściągane do warszawskich kin dosłownie z całego świata sposobami znanymi tylko niezwykle dynamicznemu, młodemu dyrektorowi festiwalu, Stefanowi Laudynowi. Jego "słowo wstępne" zamieszczone w pięknie wydany katalogu festiwalu ogranicza się do jednego zdania:

"Cały czas robimy swoje...". Mogę tylko dodać: oby tak dalej!

Pozostało mi już mało miejsca, a tu jeszcze tyle dobrego! Choćby premiera "Carmen" w Teatrze Wielkim, która stała się niewątpliwie intrygującym artystycznym wydarzeniem. Nie oznacza to, że zachwyca w niej wszystko. Zachwyca strona wokalnie-muzyczna (świetnie przygotowana przez Tadeusza Wojciechowskiego, ze znakomitą i piękną Carmen - Małgorzatą Walewską oraz dobrymi jej partnerami: Bożydarem Nikolowem w partii Don Joségo i Marcinem Bronikowskim - Escamillem). Zachwyca także (ale nie ze wszystkim) scenografia Janusza Kapusty - zwłaszcza w pierwszej i ostatniej scenie, kiedy to króluje gigantyczny, siedmiopiętrowy byk, natomiast znacznie mniej zachwyca inscenizacja Lecha Majewskiego. Przeladowana pomysłami niejednokrotnie zupełnie nonsensownymi, niejednokrotnie o zbyt zagmatwanej symbolice. Najgorsze jednak to, że reżyser zajęty obmyślaniami coraz to nowych aluzji i symboli dopuścił do - widocznej szczególnie w dwu pierwszych aktach - tradycyjnej operowej sztampy: soliści właściwie nie kontaktują się ze sobą, lecz nawet najczulsze duety wyśpiewują, nie patrząc na siebie, tylko na dyrygenta i publiczność; żołnierze wdzięki pięknych Cyganek komentują w postawie na baczność... Ludzie! Tak się na wielkich scenach nie śpiewa już od dziesięcioleci albo nawet i dłużej.

No, ale muzyka zwycięża. I głosy zwyciężają. Dlatego ta "Carmen" mimo swych inscenizacyjnych dziwactw jest wydarzeniem na miarę tego siedmiopiętrowego byka, toteż radzę ją obejrzeć i radzę jej posłuchać!

Podobnie jak wydarzeniem jest kontrowersyjne, lecz przecież ważne artystycznie "Wesele" Wyspiańskiego, wystawione na podwójny jubileusz Teatru Powszechnego (50 lat działalności w tym miejscu; 20 lat działania w tym gmachu pod nieocenioną dyrekcją Zygmunta Hübnera, a po jego śmierci - pod jego imieniem).

Wystawiać dziś "Wesele" to odwaga i sztuka. Przenicowano je

przecież już na wszystkie strony, analizowano na dziesiątkach sposobów, wystawiano w dziesiątkach konwencji, czy można zatem potrącić w nim jakąś nową strunę? Krzysztof Nazar starał się to uczynić. Nadał "Weselu" podniecający niepokój, chorobliwie nerwowy rytm - wszystko dzieje się tu w ruchu, w biegu, nawet sceny z osobami dramatu zazwyczaj tak statyczne, tutaj zaskakują dynamiką.

Czy to wyszło "Weselu" na dobre? Zdania są podzielone. Premierę skwitowano długotrwałą owacją na stojąco, ale nie wszyscy przyjęli pomysły Nazara równie entuzjastycznie. Natomiast chyba wszyscy wysoko ocenili aktorów. Powszechny ma znakomity zespół - tutaj dyrektor Rudziński zebrał go niemal w komplecie, dodając jeszcze kilka istotnych występów gościnnych (Joanna Szczepkowska - Rachel, Ewa Ziętek - Czepcowa). Rezultat? To "Wesele" obfituje w prawdziwe aktorskie kreacje. Najbardziej efektowną stworzył Janusz Gajos (rewelacyjny Nos), ale na wielkie brawa zasługują także: Mirosława Dubrawska (Radczyni), Joanna Żółkowska (Gospodyni), Kazimierz Kaczor (Czepiec), Michał Żebrowski (Poeta), Beata Ścibakówna i Justyna Sieńczyłło (Zosia i Haneczka), Piotr Machalica (Gospodarz)... Trzeba by tu wymienić prawie wszystkich, lecz obsada w "Weselu" jest na to zbyt spora!

No, a po spektaklu - proszę czytać uważnie: korowód 150 taksówek podstawiono pod teatr, aby przewiozły premierowych gości na Stare Miasto, na bankiet w karczmie u Gesslera. Przy polskich daniach i polskim piwie słuchano występu krakowskiej Piwnicy, przygotowanego specjalnie dla warszawskich kolegów z Powszechnego, a potem już bawiono się do białego rana. Takiego jubileuszu nie miał jeszcze żaden teatr, ale Powszechny na pewno sobie na taką fetę zasłużył. Na ręce dyrektora Krzysztofa Rudzińskiego, wychowanego przez Zygmunta Hübnera na jego godnego następcę, składam bardzo szczerze gratulacje!...

LUCJAN KYDRYŃSKI